

## JÓZEF ALEKSIEJEWICZ

---

Kpr. Józef Aleksiejewicz, ur. w [nieczytelne], zmobilizowany w 1939 r., zawód: mierniczy, żonaty.

---

Byłem wzięty do niewoli bolszewickiej 18 września 1939 r. na stacji kolejowej Dubno, dokąd przyjechałem z transportem Składnicy Materiału Intendenckiego w Baranowiczach. Oddział nasz składał się z trzech oficerów i 12 szeregowych; szeregowi w całym składzie byli wzięci do niewoli, oficerowie zaś, korzystając z posiadanych środków lokomocji, odjechali na dwie-trzy godziny przed zjawieniem się bolszewików.

Po zatrzymaniu nas przez oddział bolszewicki zostaliśmy izolowani, początkowo na podwórku jakiegoś prywatnego obejścia, które było obrane jako doraźny punkt koncentracji jeńców, a pod wieczór tegoż dnia w koszarach w Dubnie. W tych koszarach (nazwy nie pamiętam) z każdym dniem liczba zatrzymanych wzrastała i ok. 21–22 września, kiedy nas wywieziono, dochodziła przypuszczalnie do pięciu–sześciu tysięcy ludzi. Z ogólnej masy zostały wyodrębnione grupy: a) oficerów i kilka osób duchowieństwa rzymskokatolickiego i prawosławnego; b) policji i c) lotników. Lotnicy w czasie transportu i później zostali włączeni do ogólnej masy jeńców. Były wypadki ucieczki z obozu, lecz wiadomość o napadach Ukraińców wpływała hamująco.

Następnym etapem była Szep[i]etówka. Bolszewicy nie mogli opanować skoncentrowanej tam masy ludzi. Zaopatrzenie, bardzo niedostateczne, uzupełniane przez więcej przedsiębiorczych dokupywaniem od ludności cywilnej, jak również i w sklepie w mieście, dokąd się udawało przez dziury w płocie.

Po Szep[i]etówce, gdzie byłem kilka dni, nastąpił wyjazd w kierunku wschodnim; po dojechaniu jednak do Kijowa kierunek naszej podróży zmienił się na północno-zachodni;

w czasie drugiej części podróży konwój eskortujący nas podawał, że jedziemy do kraju. Podróż jednak zakończyła się w Żwiahlu [Zwiahlu] (Nowogród Wołyński).

Stan jeńców, skoncentrowanych w Żwiahlu [Zwiahlu], dochodził do ok. dziesięciu tysięcy. Skład – wyłącznie szeregowcy. Kilku oficerów (ok. dziesięciu osób) zostało wykrytych w czasie mojej bytności w tym obozie; od razu ich izolowano i w prędkim czasie wywieziono. Po pewnym czasie administracja obozu zaczęła rozsyłać jeńców: kilka tysięcy wysłano do Krzywego Rogu (takie wiadomości co do miejsca wysłania kursowały po obozie), resztę zaś rozdzielono po drobnych obozach, przeznaczonych do przebudowy drogi bitej Żwiahel [Zwiahel]–Lwów–Przemyśl.

W pierwszej połowie listopada 1939 r. zostałem przeniesiony do jednego z takich obozów po polskiej stronie granicy, założonego w majątku ziemskim Hołownica, pow. Równe, w odległości czterech kilometrów od miasta granicznego Korzec. Stan jeńców w tym obozie wahał się od 300 do 600 osób. Skład – wyłącznie szeregowi; narodowościowo w przybliżeniu: 40 proc. Polaków, 30 proc. Ukraińców, 20 proc. Białorusinów i dziesięć procent Żydów. Intelaktualnie: cztery czy pięć osób z wyższym wykształceniem, ok. czterech procent posiadających poziom średniej szkoły; reszta rolnicy i robotnicy.

Z obozu w majątku Hołownica w pierwszych dniach wojny sowiecko-niemieckiej (wymarsz ok. 22 czerwca 1941 r.) przetransportowano nas do Starobielska w południowo-wschodniej części Rosji. Tam w końcu sierpnia 1941 r. zostałem razem z innymi przejęty przez delegata polskiego, pana ppłk. Wiśniowskiego i w stosunkowo krótkim czasie przewieziony do Tocka [Tockoje].

Jeżeli chodzi o życie w obozach, to w Dubnie, Szep[i]etówce i Żwiahlu [Zwiahlu] stłoczenie większej liczby ludzi uniemożliwiało administracji obozów bliżej zainteresować się nami, cały ich wysiłek był skierowany na ujęcie nas w jakieś mniej więcej ramy organizacyjne i wyłapywanie oficerów. Przy wszelkich segregacjach i wysyłaniu transportów operowano stanami liczbowymi; przy wysyłaniu transportów ze Żwiahla [Zwiahla] zaczęto stosować listy imienne.

W obozie Hołownica zaciekawienie się nami było więcej szczegółowe. Zapoczątkowane w Żwiahlu [Zwiahlu] listy imienne ze szczegółowymi danymi personalnymi tu zostały rozszerzone i wykończone. Od nadmiernej wścibskości władz ratował nas niski stan intelektualny ich przedstawicieli w naszym obozie (naczelnik obozu, który w pierwszej połowie mojej bytności w obozie Hołownica był jedynym przedstawicielem NKWD, to

prawie analfabeta). Zaciekawienie się nami organów NKWD w Równem opierało się na przedstawionych przez miejscową administrację sprawozdaniach. Indagacji podlegali stosunkowo nieliczni koledzy, którzy w wykazach wyglądali niepokojąco.

Dzień pracy nominalnie liczył się osiem godzin, później był zwiększony do 12, wliczając czas potrzebny na drogę do pracy i z pracy do obozu; niedziele wolne od pracy. Faktycznie czas pracy trwał 9 do 12 godzin bez drogi; niedziele – jak dzień powszedni.

Normy wydajności normalnie nieosiągalne; bractwo ratowało się wszelkimi sposobami własnego pomysłu. Bodźcem do zdobycia możliwie dobrej oceny pracy był „kocioł”. Wyjaśniam: jakość wyżywienia i ilość wydawanego chleba były podzielone na grupy zwane w języku urzędowym kotłem. W zależności od przyznanej wydajności pracy przydzielano jedną z ustalonych grup wyżywienia. Dwie niższe grupy, przydzielane dla mających ocenę pracy do 80 proc. normy, były tak liche, że delikwentowi groziło w krótkim czasie wycieńczenie. Za pracę było przewidziane przepisami wynagrodzenie, które czasem wypłacano po potrąceniu kosztów utrzymania za czas objęty listą płacy.

Opłacie, w myśl tych przepisów, podlegała każda robota bez względu na wydajność, ale do stu procent [normy] koszty utrzymania przewyższały wynagrodzenie; przy stu procentach wydajności wynagrodzenie po potrąceniu kosztów utrzymania wynosiło ok. pięciu kopiejek dziennie. Ubranie nominalnie było przeznaczone każdemu jeńcowi. Praktycznie – dostarczanego przez władze bolszewickie ubrania i obuwia nigdy nie starczyło na pokrycie potrzeb. Wydawano je w pierwszej kolejności tym, co się wykazali dobrą wydajnością pracy. Brak ubrania i obuwia specjalnie dawał się odczuć po zużyciu się posiadanego z polskiej armii, względnie dostarczonego z domu.

Życie kulturalne polegało formalnie na *biesiadach* politruka, który zatruwał swoim gadulstwem każdą wolną chwilę. Praktycznie – elita naszego obozu starała się w miarę możliwości wpływać na otoczenie przez organizowanie lekcji języków, prowadzone pogadanki na tematy przeciwbolszewickie, wiersze i piosenki o tymże nastawieniu. W dziedzinie przeciwdziałania wpływom bolszewickim wyjątkowo czynny był kolega Włodzimierz Toczyłowski, prawnik z wykształcenia, działacz społeczny z czasów przed 1939 r., początkowo na terenie Wilna, później Sosnowca.

Opieka sanitarna w obozie sprowadzała się do minimum. Powody: 1) czasami (50–60 proc. czasu) obsadzanie stanowisk lekarzy obozowych przez osoby nie zawsze posiadające szkołę

powszechną. W razie obecności na tym stanowisku kogoś wykwalifikowanego, wymagania administracji sprowadzały ich dobrą wolę do zera; 2) stale – brak najpotrzebniejszych leków. Mimo jednak złych warunków sanitarnych, przepełnienia, niedostatecznego ilościowo i nieodpowiedniego jakościowo odżywiania – śmiertelność w obozie była minimalna. Zmarł kolega Radzio spod Lwowa na zapalenie ślepej kiszki oraz został zastrzelony w czasie próby ucieczki jeden z kolegów spod Wilna (bliższych szczegółów o zmarłych nie znam). Zresztą słabych i chorowitych wiosną 1940 r. przeniesiono do specjalnego obozu (Żytyń).

Wobec częstego ocierania się w czasie roboty o ludność cywilną, życzliwie nastawioną do nas, odwiedzaniu członków rodziny, części kolegów, otrzymywanej okresowo korespondencji drogą normalną, szmuglowanej korespondencji stale – łączność ze światem zewnętrznym była wystarczająca. Bardzo uczynna dla jeńców była panna Janina Czasznicka, pełniąca obowiązki lekarza obozowego, z zawodu pielęgniarka.

Miejsce postoju, 8 marca 1943 r.